

## **Agnieszka Kołakowska o starości i świeckiej religii zdrowia**

Palenie, jedzenie tłustych rzeczy, nieuprawianie gimnastyki ani sportów – wszystko to jest uważane nie tylko za niezdrowe, lecz za moralnie złe. Ludzie, którzy palą i nie uprawiają sportów są gorsi – moralnie gorsi – od innych. Ludzie starsi nie mogą, rzecz jasna, należeć do wybranych tego wspaniałego nowego świata. Nie uprawiają gimnastyki ani sportów, i często palą – pisze Agnieszka Kołakowska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kompleks Matuzalema.

Nie jest wcale prawdą, że z wiekiem się mądrzeje. (Dzień dobry! jak mawiała moja babcia.) Są tacy, co – przeciwnie, zdają się głupiec. U innych wrodzona głupota jaka była, taka pozostaje: nieuleczalna.

Nikt chyba nie ma co do tego wątpliwości i nikogo to chyba nie dziwi ani nigdy nie dziwiło. Wiemy, że powinniśmy się uczyć z doświadczenia i z naszych błędów, ale wiemy też przecież, że rzadko się to zdarza. Mówimy czasem: “Taki stary, a taki głupi”, ale są to tylko pozory zdziwienia: nie spodziewamy się naprawdę, że starość przyniesie mądrość. A jeśli nawet czegoś z tych naszych błędów i doświadczeń się nauczymy, to tylko tymczasowo; najczęściej szybko o tym zapominamy. Zapewne są tacy, co uczą się, pamiętają i z wiekiem mądrzejają; ale jest to mniejszość.

Tradycja szacunku dla starszych też nie zdaje szczególnie związana z mądrością. Gdy w Biblii hebrajskiej jest mowa o ludziach starych, często jest też mowa o szacunku, jaki im się należy z powodu wieku – ale nie z powodu mądrości. Nie jest nigdzie napisane ani nikt nigdzie nie mówi, że ktoś jest mądry dzięki starości, ani że stał się mądry na starość. Czasem zadawane jest pytanie o mądrość, która ma przychodzić z wiekiem, ale nie ma na nie odpowiedzi. Wolno chyba z tego wnioskować, że w starożytności tradycja szacunku dla starszych – owszem, istniała jako część moralnego świata, ale nie była związana z tradycją, czy raczej legendą, przypisującą starszym mądrość. Ta legenda nie była częścią moralnego świata; należy, i zawsze należała, do sfery mitów.

Pytanie, dlaczego nie ma już dziś Nestorów, jest więc dwójako absurdalne. Nigdy nie było ich wielu i nic nie wskazuje na to, że dziś cierpimy na jakiś szczególny ich brak. Jeśli przez “Nestorów” mamy na myśli tzw. “publicznych intelektualistów” w podeszłym wieku, to zdecydowanie mamy ich pod dostatkiem. Bauman? Habermas? Dziękuję za takich Nestorów. Jeśli natomiast przez “Nestorów” mamy na myśli ludzi mądrych, publiczne autorytety, na których można polegać i co do których mądrości wszyscy się zgadzamy, to rzeczywiście stwierdzamy, rozglądając się wokół, smutny ich brak; ale to chyba sprowadza się po prostu do stwierdzenia, że wszyscy wokół są głupi albo wredni. Owszem, często się tak wydaje. To też nie jest to nowy stan rzeczy, ani nie jest to nowym spostrzeżeniem. W rozpaczliwym poszukiwaniu czegoś nowego, co wyróżnia pod tym względem naszą epokę od innych, można by ewentualnie wskazać na skrajne upolitycznienie publicznego życia; można jednak też zauważyć, że w poprzednich epokach nie rzucała się w oczy powszechna zgoda co do wybitności publicznych autorytetów. Więc znowu porażka. Można też

wskazać na powszechne skretynienie, obojętność i niezdolność do rozpoznania mądrości, gdy stoi przed nami jak słoń; ale na powszechne skretynienie, obojętność i niezdolność do rozpoznania prawdziwej mądrości też od wieków narzekamy.

Każde pokolenie, od tysiącleci, narzeka na brak Nestorów, tak samo, jak narzeka na brak szacunku dla starszych; każde pokolenie, od tysiącleci, uważa, że jest świadkiem nowej, unikalnej degrengolady - okrzyk "O tempora! O mores!" i jego odpowiedniki są powtarzane od co najmniej trzech tysięcy lat – i że wszystko schodzi na psy. Trudno zaprzeczyć, że wszystko schodzi na psy (właściwie dlaczego psy? dlaczego nie na przykład karaluchy, albo szczury? obraźliwe to dla psów), ale nic w tym nowego. Od co najmniej trzech tysięcy lat wszystko schodzi na psy. Więc proszę mi dać święty spokój z tym zawodzeniem o Nestorach.

Zbędne chyba dodawać, że kult młodości – który mamy skłonność do utożsamiania z nowoczesnością i który może nasuwać się na myśl jako coś nowego – też przecież nie jest niczym nowym. Po prostu w epoce telewizji, reklam i liberalnych demokracji bardziej rzuca się w oczy i bardziej irytuje.

Ale można wskazać na jedną rzecz, która wydaje się naprawdę nowa i związana nawet nie tyle z nowoczesnością, co bardzo specyficznie ze schyłkiem dwudziestego wieku i początkiem dwudziestego pierwszego. Jak wiele rzeczy, które nas dziś niepokoją i denerwują, jest związana z polityczną poprawnością i stała się ideologią, czy rodzajem świeckiej religii. Jest to nie tyle kult młodości, co kult zdrowia jako wartości moralnej: rodzaj świeckiej religii zdrowia, w której popełniamy grzech, jeśli nie spełniamy obowiązków wobec własnego ciała. Tak samo, jak

popęłniamy grzech, jeśli nie spełniamy obowiązków wobec planety. Narzuca się to porównanie, i istotnie, są to dwie części tej samej ideologii, jakkolwiek na pozór wydawałyby się od siebie odległe: ekologiczna obsesja szanowania “zdrowia planety”, która ceni florę i faunę bardziej niż ludzi, i połączona z nią obsesja globalnego ocieplenia, która, podobnie, ceni ideologiczną walkę z dwutlenkiem węgla – i przy okazji z kapitalizmem – niezależnie od skutków i od dobrobytu ludzkiego, wydawałyby się ortogonalne do obsesji z indywidualnym zdrowiem. W obu przypadkach chodzi jednak, wydaje mi się, o podobną w działaniu i spokrewnioną ideologicznie polityczną poprawność, gdzie – jak w totalitarnych ustrojach – samo narzucenie poprawnego grupomyślenia zawsze jest częścią ostatecznego celu. W tym wypadku celem jest zmuszenie ludzi do traktowania siebie jako istot podporządkowanych pewnej nadrzędnej idei, pewnemu wyższemu celowi, jakim jest ochrona “zdrowia natury”, gdzie – wolno mniemać – ludzie są postrzegani jako tej natury część na równi z florą, fauną i całą planetą. Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, widać wyraźniej związek między ideologią ekologiczno-globalnie-ociepleniową a świecką religią zdrowia.

Wiemy, oczywiście, że w praktyce jest inaczej: ideologia ta ceni ludzi o wiele mniej, niż florę, faunę i planetę. Ale cel jest kwestią drugorzędną i mógłby być jakikolwiek; prawdziwym celem jest samo narzucenie grupomyślenia. Ponadto działa tu taki sam mechanizm, jak w innych politycznie poprawnych kwestiach, a w szczególności w poprawności ekologicznej i globalno-ociepleniowej, mianowicie wytwarzanie i podsycanie u wiernych tych świeckich religii przekonania o własnej moralnej wyższości. To też jest celem.

Tak więc palenie (najgorsze z grzechów), jedzenie tłustych rzeczy, nie uprawianie gimnastyki ani sportów – wszystko to jest uważane nie tylko za niezdrowe, lecz za moralnie złe. Ludzie, którzy palą i nie uprawiają sportów są gorsi – moralnie gorsi – od innych. Heretycy, odcinający się od tej nowej świeckiej religii, są potępiani i stroni się od nich, jak kiedyś stroniono od prawdziwych heretyków.

Ludzie starsi nie mogą, rzecz jasna, należeć do wybranych tego wspaniałego nowego świata. Nie uprawiają gimnastyki ani sportów, i często palą. Więc może nowa ideologia zdrowia jest dobrym kandydatem na to coś nowego, czego rozpaczliwie szukamy? Jeśli jest coś, co pod tym względem naprawdę wyróżnia naszą epokę, coś, co dziś bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości przeszkadza młodym w okazywaniu należytego szacunku starszym i nakazuje traktować starszych jako idiotów, którymi wolno gardzić, może tu właśnie to coś się kryje?

Ale i to jest wątpliwe. Czymże innym bowiem jest cały ten kult zdrowia, natury i planety, niż normalnym nurtem anti-intelektualnym? Nurtem, na dodatek, z silnymi powiązaniem z Romantyzmem, a więc nurtem, który, można chyba powiedzieć, też był w jakiś sposób anti-intelektualny, a przynajmniej antyracjonalny. Jeśli tak – a przecież na różne sposoby można te nowe ideologiczne mody interpretować – to też nie ma nic nowego. Nurty anti-intelektualne zawsze istniały, tylko w każdej epoce przejawiają się w inny sposób. A zatem chyba jednak nie ma o czym mówić.

Ale (bo uparty umysł nie chce dać za wygraną i – mimo porażki, która wydaje się ostateczna, mimo świadomości, że nie ma nic nowego pod słońcem, jak już wiedział Eklezjasta – dalej rozpaczliwie szuka) może to jednak nie całkiem koniec dyskusji? Czy bowiem obecne postawy wobec starości nie są związane z buntem przeciwko autorytetom, który zaczął się w latach 1960? I czy fakt, że te postawy, tępiące wszelkie autorytety, stały się powszechne i w dużej mierze zinstytucjonalizowane, zwłaszcza na amerykańskich uniwersytetach, nie wyróżnia jednak naszej epoki od innych pod tym względem? I czy pogardliwe postawy wobec ludzi naprawdę starych, bo od setek albo tysięcy lat spoczywających w grobie – ludzi takich jak autorzy Biblii hebrajskiej, Platon, Kant – nie są związane z postawami wobec trochę mniej starych (bo żywych), którzy starają się przekazać wiedzę na uniwersytetach? Czyż tępienie dawnych autorytetów i źródeł mądrości jako kolonialne, rasistowskie, elitarne, eurocentryczne, mizoginiczne itd., itp.; próby wymazywania historii, bo nie zgadza się ona z naszą nową wspaniałą narracją, w której wszyscy jesteśmy młodzi i wolni, nieobarczeni ciężarem przeszłości ani obowiązkiem szacunku dla mądrzejszych; odrzucanie wartości, które leżą u serca zachodniej cywilizacji – pojęcia autorytetu, samego pojęcia prawdy, pojęcia obowiązku, jaki spoczywa na tych, którzy coś wiedzą, przekazywania tej wiedzy kolejnym pokoleniom – czy to wszystko nie skutkuje jakimś szczególnym w naszej epoce brakiem szacunku dla starości? Może to być prawdą nawet jeśli nie ma nic nowego pod słońcem. Tak więc znów wracamy do ideologii poprawności politycznej jako źródła. Ale wiemy zarazem, że na temat starości, jak wszystkich innych fundamentalnych aspektów życia, Eklezjasta miał rację: nie ma nic nowego pod słońcem. Więc naprawdę nie ma o czym mówić.